Nr. 8 i 9. SIERPIEŃ i WRZESIEŃ 1910. Rocznik IX.

ADORACYA PRZENAJŚW. SAKRAMENTU

ORGAN STOWARZYSZENIA KAPŁANÓW POLSKICH
ADORACYI PRZENAJŚWIĘTSZEGO SAKRAMENTU.

Wychodzi na początku każdego miesiąca.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Ks. Dr. Zygmunt Lenkiewicz
kanonik kapituły lwowskiej obrz. łać.



Redakcya i Administracya:
Lwów,
pl. Kapitulny l. 5.

Prenumerata roczna z przesyłką pocztową wynosi 2 kor.

WE LWOWIE,
I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.
1910.

Nr. 8 i 9. SIERPIEŃ-WRZESIEŃ 1910. Rocznik XI.

ADORACYA Przenajśw. Sakramentu

Eucharystya św. pamiątką Męki Pana Jezusowej.

1. Uwielbienie.

Wiara św. uczy, że Eucharystyę ustanowił Pan Nasz, Jezus Chrystus, na pamiątkę swej męki i śmierci. „To czyńcie na moją pamiątkę“, wyrzekł Zbawiciel, Swe Boskie Ciało i Swoją Krew najdroższą kryjąc pod całunem świętych postaci jakby w grobie. A św. Paweł mówi: „Ilekroć będziecie ten chleb jedli, śmierć Pańską opowiadać będziecie“.

Bo też niezmiernie wiele na tem zależy, aby wspomnienie śmierci Jezusowej żyło zawsze wśród ludzi. Tylko przez wzywanie i naśladowanie Chrystusa cierpiącego, możemy zasługi Jego śmierci sobie przyswoić i zbawienia dostąpić.

Ponieważ śmierć, dla umiłowanych podjęta, jest największym dowodem miłości, a Pan Jezus wie, że serca nasze ostatecznie tylko miłością pozyskane być mogą, przeto chciał, aby dowód i objaw tej Jego miłości w Przenajdroższej Męce był zawsze przed oczyma naszemi. Eucharystya więc mówić powinna wszystkim ludziom i po wszystkie wieki, że dla nich cierpiał i umarł Pan Jezus.

Jakże spełnia Eucharystya to swoje posłannictwo? Dzieje się to w codzienej mszy św., gdy kapłan, przez słowa konsekracyi, z wysokości nieba przyzywa żyjącego i tryumfującego Chrystusa, by uobecnił się pod martwemi postaciami Sakramentu, bez ruchu, bez słowa, bez życia!... Nie jestże wtedy

Boski nasz Zbawiciel w prawdziwym stanie śmierci?... Żyje, pod eucharystyczną osłoną, jako Bóg-Człowiek, gdyż wiara nas uczy, iż Chrystus od Zmartwychwstania Swego nie umiera i umrzeć nie może. Żyć a nie módz na zewnątrz objawiać żadnego aktu życiowego, żadnego nie dawać dotykalnego dowodu, że to życie prawdziwie istnieje, czyż to nie znaczy być w stanie śmierci? Takim jest Pan Jezus w Przenajśw. Sakramencie. Takim tylko ukazuje się przed nami. Aby to zrozumieć, dość jest wierzyć i wiedzieć; wierzyć, że pod osłoną sakramentalną obecny jest ten sam Syn Boży, który stał się człowiekiem, a widzieć, że w Eucharystyi nie objawia się to, co nazywamy życiem. Chrystus w Eucharystyi nie ma ani wolności ruchu, aby się przenieść z miejsca na miejsce lub ochronić ucieczką od napaści wrogów, ani wolności słowa, by rozmawiać z przyjaciółmi, albo wołać o pomoc, gdy go nieprzyjaciele znieważają, ani nawet kształtu i postaci człowieka, która kazałaby wnioskować na istotę ludzką, nic zgoła! Jak w czasie Męki Swojej wydany był na wolę tych, co Go uwięzili, tak w Eucharystyi skrępowany jest do tego stopnia, iż nawet przyjaciele mogą powtórzyć o Nim słowa Izajasza Proroka: „Widzieliśmy Go, a nie było na co spojrzeć“; widzieliśmy Hostyę poświęconą, a zmysłami nie potrafiliśmy jej rozróżnić od innej, niepoświęconej. Mógłże Zbawiciel jakimkolwiek innym sposobem lepiej, niż tym stanem śmierci eucharystycznej, utrwalić pamiątkę Męki i Śmierci Swojej na Kalwaryi? Uwielbiaj więc w Sakramencie tego umęczonego, ukrzyżowanego Jezusa, a Hostya Najświętsza niech ci Go przypomina zawsze ukoronowanego cierniem, przybitego do krzyża, umierającego dla miłości twojej.

2. Dziękczynienie.

Św. Eucharystya, będąc pamiątką śmierci Zbawicielowej, na pamięć nam przywodzi niepojętą miłość, która pobudziła Pana Jezusa do poniesienia męki; przypomina nam niewyczerpaną cierpliwość, z jaką wszystko złe przebolał i nieskończone miłosierdzie, jakie okazał zabójcom swoim i wszystkim wogóle grzesznikom.

Miłość skłoniła Go do podjęcia strasznych katuszy i zelżywej śmierci na krzyżu, chociaż wszechwładna potęga Jego miała tysiączne inne środki zadosyćuczynienia sprawiedliwości

Ojca i zbawienia świata. Czyliż tażsama miłość nie jaśnieje promiennym blaskiem w Eucharystyi św., gdzie Pan Jezus dobrowolnie, jedynie dla naszego dobra, oddaje się nam cały bez granic, bezwarunkowo, na zawsze?

A czyż Zbawiciel nie jest równie cierpliwy i pobłażliwy w Najśw. Sakramencie, jak wśród męki Swojej? Czy słodycz Jego nie wyłania się z osłon sakramentalnych, jak słońce z obłoków, dobrocią przyciągając ku sobie wszystkie serca, nawet bardzo oziębłe? Czyż na ołtarzu wszystkim, którzy Go zdradzają, nie przebacza, jak w Ogrojcu Judaszowi, Piotrowi w domu Kajfaszowym, na Kalwaryi katom?

Pokorne milczenie Hostyi św. czyż nie jest modlitwą, w której po wieki wieków powtarza się słowo Boskiego Miłosierdzia na krzyżu: „Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią!".

Uznając wdzięcznem sercem, że słodki jest Pan w Najśw. Sakramencie, dziękujmy Mu równocześnie za dobroć, której niezliczone dowody złożył w czasie Męki.

3. Zadośćuczynienie.

Aby głębiej przeniknąć się tą prawdą wiary, że Eucharystya utrwala Mękę i Śmierć Zbawiciela, rozważ, czy Pan Jezus nie jest tu równie, jak wśród Męki, ofiarą takich samych zdrad, gwałtów, upokorzeń? Widok ten pobudzi duszę twą do współczucia, jakiego Zbawiciel tak gorąco pragnie od od tych, za których wydał siebie całego.

Czyliż na sposób Judaszowy nie zdradza Eucharystycznego Pana ten, kto Go przyjmuje do duszy, skalanej grzechem śmiertelnym? Czyliż nie zdradza Go ten, kto zapoznaje częstej Komunii św. wartość i znaczenie w życiu praktycznem i uchyla się od niej już to dla względów ludzkich, by uniknąć szyderczego spojrzenia, jużto dla rzekomego braku czasu, już przez miękkość, która lęka się wszelkiego umartwienia?

Jakże wiele gwałtów zadają bezbożni Zbawicielowi, mieszkającemu w postaciach sakramentalnych! Świętokradzka ręka porywa się nieraz na przybytki Pańskie, a nawet Hostyom św. nie przepuszcza. Czyliż w męce swojej Pan Jezus był przedmiotem grzeszniejszych zamachów?

A znów jak wielkie upokorzenia znosić musi Zbawiciel nasz w Swoim Sakramencie! Dobrowolna a rażąca niezna-

jomość fundamentalnych prawd wiary u wielu chrześcian; niewdzięczność i gorszące upadki tych, którzy chcą uchodzić za przyjaciół Jezusowych; bezbożne mowy, bluźniercze żarty, nieochędóstwo w kościołach; nałogowe nieuszanowanie miejsc świętych — czyż nie przypominają żywo Kaifasza, Piłata, Heroda, koronę cierniową, purpurowy łachman, słowem: wszystkie szczegóły męki?

Niechże do cichej Ofiary Sakramentu przystąpią niewiasty święte i niech nad nią zapłaczą! Niech Weronika otrze skrwawione i oplwane oblicze Pańskie! Niech Szymon pomaga w dźwiganiu krzyża, a Jan miłujący stanie u stóp Kalwaryi! Niech szczególnie Najśw. Panna Marya będzie tam, by odczuwać niepokalanem Sercem wszystko, co Boski Syn Jej ponosi. Skoro Jezus ciągle przedłuża Mękę Swoją, trzeba, aby odnawiało się współczucie, którego doznawał na Kalwaryi od przyjaciół swoich.

4. Prośba.

Żywa pamięć na Mękę i śmierć Zbawiciela to nawrócenie, to świętość, to pociecha, to siła nasza, słowem to zbawienie! Lecz na to potrzeba, ażeby ta pamięć tak głęboko zamieszkała w duszy, tak stała się obecną myśli naszej, tak potężną, by nas do Jezusa przywiązała, a zrodziła najżywszą nienawiść grzechu i wieczny rozbrat z wszystkiem, co do niego prowadzić może. Aby pamięć Męki Zbawiciela przechowała się od pokolenia do pokolenia, Pan Jezus zamieszkał stale w Najśw. Eucharystyi. Prośże Zbawiciela, aby Ci dał żywą i skuteczną pamięć Męki Jego; niech pamięć ta będzie owocem Komunii św., którą przyjmujesz, owocem Mszy św., której słuchasz, owocem adoracyi, którą w tej myśli powinieneś często ponawiać.

Ćwiczenie. Staraj się w rozmyślaniu szczegóły Męki Pańskiej odnosić do Przenajśw. Sakramentu, przekonany, że ćwiczenie takie przyniesie ci wielkie korzyści. (*Tesnière*).

Częsta Komunia św. w świetle dziejów Kościoła.

(Ob. *Dalgrains*, la sainte Communion, tom I. rozdz. 6).

Od historyków wymaga się dzisiaj nierównie więcej, niż niegdyś. Obecnie w dziejach szukamy szczegółów, którymi zajmować się historya dawnej daty byłaby miała sobie za

ujmę i sponiewieranie swej godności. Już nie wystarczają nam opowiadania o życiu publicznem królów i cesarzy, drobiazgowe opisy bitew i oblężeń, wyszczególnianie artykułu po artykule traktatów pokojowych. W pokoleniach, które przeminęły, wyobrażamy sobie słusznie ludzi nam podobnych, złożonych z duszy i ciała, z krwi i nerwów; pragniemy przeto wiedzieć, jak one żyły, co ich cieszyło, co napełniało smutkiem.

Upodobania te podziela też przeważna większość czytelników, którzy gwoli zbudowania chcą poznać ustrój pierwotnego Kościoła. Czują oni żal do uczonych badaczy z tego powodu, że za mało dają wiadomości o wewnętrznem życiu chrześcian w okresie prześladowań. Radziby obudzić ze snu męczenników, oczekujących w ołtarzach kościołów naszych wielkiej doby zmartwychwstania, aby z ich ust otrzymać autentyczną i wyczerpującą odpowiedź na pytania: jak postępowali w życiu codziennem ci, którzy w czasach apostolskich lub tuż po nich przelali krew za sprawę Chrystusową? co było przedmiotem ich nabożeństw? jakiej metody trzymali się w modlitwach? czy wogóle krępowali się w tym względzie jakiemi prawidłami? czy w głowie ich roiły się tesame myśli, co w naszych? czy pierś ich rozpierały tesame uczucia, co nasze? czy doznawali takich cierpień i pokus, jak my?

Niestety, trudno, a nawet niepodobna zaspokoić pobożną tę ciekawość. Z biegiem czasu przepadło wiele dokumentów, któreby rzuciły pożądane światło na fakta, sięgające tak odległych wieków. A niewątpliwie Opatrzność Boża dla ważnych powodów pozwoliła zaginąć owym pomnikom historycznym. Zapewne Pan nasz chciał odwrócić oczy wiernych od tradycyi martwej, aby tem silniej oparli się na powadze żyjącej w Kościele. Mamy dość dokumentów stwierdzających, że pierwsi chrześcianie byli katolikami, ale jest ich za mało, aby zbudować gmach wiary na samej historyi minionych wieków. Posiadamy wcale wystarczającą ilość pomników na przeprowadzenie ścisłego dowodu, że Kościół teraźniejszy nie różni się zasadniczo od pierwotnego, ale byłoby niedorzecznością, wiarę naszą uzależniać od zbadanej nauki pierwszych pisarzy kościelnych; było ich zbyt mało, aby z ich dzieł dało się stworzyć całokształt wiary, wyznawanej w zaraniu chrześciaństwa, i obyczajów, wówczas praktykowanych.

Wiele lat upłynęło, zanim chrześcianie późniejsi odstąpili od tradycyi wieku apostolskiego, którego cechą charakterystyczną to było, że wierni „trwali na modlitwie i łamaniu chleba“. Badania, dokonane w katakumbach, wykazały, że w ołtarzu ześrodkowały się wszystkie nabożeństwa pierwotnego Kościoła. Aby umożliwić odprawianie najśw. Ofiary, wykopano na milowych przestrzeniach w skałach wulkanicznych pod Rzymem jakoby Rzym drugi, złożony z krętych galeryi. Jeżeli w potężnych piramidach, wzniesionych rękoma dzie-

siątków tysięcy niewolników i we wspaniałych grobach władców Egiptu, widzimy dowód czci, jaką ludy z nad Nilu otaczały pamięć umarłych: to w nierównie wyższym stopniu katakomby, pod tronem cezarów żłobione żmudną a dobrowolną pracą biednych robotników, przekonywują nas, że chrześcianie pierwszych wieków całem sercem lgnęli do czci najgodniejszej Tajemnicy, aby z niej czerpać siły, męstwa, miłości Bożej i miłości bliźniego. Ponieważ nie mogli mieć mszy na powierzchni ziemi, przeto wydrążali podziemne sklepienia, aby świętej ofierze zapewnić względny spokój i bezpieczeństwo. Częścią nieodzowną mszy św. była wówczas komunia wiernych. Istnieją dokumenta, świadczące, że każdy z obecnych na mszy św. przystępował do komunii św. Uchylających się od pobożnej tej praktyki kanony apostolskie (8 i 9) okładają censurą kościelną. To samo postanowiono na soborze Antyocheńskim za papieża Juliusza I. (337—352). Wprawdzie niektórzy uczeni twierdzą, jakoby owe kanony apostolskie odnosiły się jedynie do kapłanów, ale choćby kiedyś udowodniono to zdanie, niepoparte dotychczas poważnymi argumentami, to zawsze pozostaje nam jeszcze świadectwo św. Hieronima, które stwierdza,„ że za jego życia istniały ślady zachowanego od niepamiętnych czasów zwyczaju, na którego podstawie wszyscy obecni na mszy św. przyjmowali komunię.

Że pierwsi chrześcijanie częstą Komunią św. umacniali się do bojów życia, tego dowodzi nadzwyczajna łatwość, jaką okazywał Kościół w powierzaniu Najświętszego Sakramentu ludziom świeckim, mężczyznom i kobietom.

Trudno wyobrazić sobie czas groźniejszy nad chwilę, z którą rozpoczynał się nowy okres krwawego prześladowania n. p. za rządów Marka Aureliusza, kiedy zginął śmiercią męczeńską św. Polikarp i wyznawcy lugduńscy.

Nie jedno serce, zresztą mężne, zadrżało, gdy ogłoszono edykt, który nie tylko polecał tracić chrześcijan wówczas, gdy wpłynęło przeciw nim oskarżenie lecz nadto kazał ich wyszukiwać z urzędu. Ani dla wieku, ani dla płci nie czyniono wyjątku. Co chwila dochodziła uszu wieść złowroga, że porwano tu senatora, tam dostojną matronę, ówdzie szesnastoletnią dziewicę, których okrutny sędzia kazał zwlec ze szat, chłostać publicznie, brać na tortury, pozbawiać życia.

Pośród tych okropności jedynem pocieszeniem chrześcijan był Najśw. Sakrament. Skoro nad Kościołem zawisnął miecz prześladowców, pierwszą troską biskupa było rozdzielić Ciało Pańskie między wiernych, aby mogli mieć Jezusa u siebie w domu i z własnych rąk przyjąć Komunię świętą w chwili, którą sami uznają za stosowną. Mężczyźni i niewiasty zabierali św. Eucharystyę ze sobą, na czas potrzeby, a to rozdawanie Najśw. Sakramentu wszystkim wiernym razem i każdemu z osobna było do tego stopnia uznawane za dowód

urzędowy rozpoczętego prześladowania, że w innych czasach heretycy rozdawali członkom swojej sekty Eucharystyę, aby upozorować zarzut, że katolicy ich prześladują.

W strasznych tych czasach Zbawiciel nasz nie kładł granic szczodrobliwości Swej w udzielaniu się wiernym, a Kościół św., znając Jego ducha, przyznawał daleko idące ułatwienia i tym, co odprawiali Mszę św. i tym co przyjmowali Komunię.

Z narażeniem życia kapłani szli pomiędzy skazańców do więzień, aby w ponurych tych ciemnicach odprawiać Najśw. Ofiarę. Św. Lucyan, kapłan antyocheński, w Nikomedyi później umęczony, nie mając ołtarza w więzieniu, położył się na ziemię i na własnem łonie odprawił Najśw. Ofiarę, aby dać towarzyszom niedoli Komunię św. Wybierano któregokolwiek z pomiędzy wiernych, aby zaniósł Najśw. Sakrament tym, którzy na Mszy być nie mogli. Młodziuchny Akolita Tarsycyusz niósł właśnie Pana Jezusa, kiedy go poganie otoczyli i śmierć mu zadali. Jak opowiada Euzebiusz, św. Dyonizy Aleksandryjski, dowiedziawszy się, że niejaki Serapion, męczennik, kona w więzieniu: ponieważ sam do umierającego dójść nie mógł, powierzył zaniesienie Wijatyku dziecku chrześcijańskiemu, jakie się właśnie nawinęło.

Lecz nie tylko w czasach prześladowania Kościół był szczodrym w szafowaniu Komunii św. Stosownie do ówczesnych zwyczajów po Mszy biskupiej, a oprócz niej nie odprawiano w ciągu dnia żadnej innej, dyakoni nieśli Najśw. Sakrament tym, którzy nie mogli przybyć na nabożeństwo. Częstokroć pod dachem poganina ukrywał się Pan Jezus; żadna przed Nim nie paliła się lampka; pozostawał tam pośród rzeźbionych bałwanów i bezecnych malowideł pogańskich. Wiemy to od Tertuliana, który, pragnąc odwieść dziewczęta chrześcijańskie od małżeństwa z poganami, kładzie nacisk na niebezpieczeństwo, jakie grozi świętości Sakramentu, gdyby mąż odkrył schowek, dlań przeznaczony. Niewiasty udzielały sobie Komunie św. same przez lniane płótno, mężczyźni obywali się bez tej osłony rąk swoich.

O godny podziwu Kościele pierwotny! Uprzytomniając sobie twe nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, zaczynam rozumieć bohaterstwo twych dzieci. Pojmujemy miłość macierzyńską św. Perpetuy i męską iście jej odwagę, gdy dowiadujemy się, że w widzeniach i marzeniach swoich święta męczenica widziała stale św. Komunię.

Z kultem św. Eucharystyi nieoddzielnie się łączy u pierwszych chrześcijan dziecięce przywiązanie do przełożonych Kościoła. Jak owce idą za pasterzem, tak wierni garną się do swego ojca duchownego, od którego otrzymują chleb żywota. Jest on ich przewodnikiem we wszystkich sprawach; doradcą przy zawieraniu małżeństw; na Mszy jego wszyscy się ko-

munikują. W ciężkich przejściach zachowują wierni spokój i radują się w Panu dzięki Komunii św.

W skąpej, co prawda, spuściźnie po nich zostały nam jeszcze narzędzia tortur, wykupione od katów po śmierci męczenników i szklane kielichy z wyobrażeniem dobrego Pasterza, w których ofiarowywano Krew Baranka bez skazy. Lira, symbol radości i kotwica, godło nadziei, wyryte na ich obrączkach, świadczą o szczęściu wewnętrznem, jakiego zaznawali pomimo srogości prześladowań. Nad obawą śmierci panuje nadzieja chwalebnego zmartwychwstania którego wyczekują za sprawą częstej Komunii, zadatku życia wiekuistego.

Tak ścisłe stosunki łączyły Pana naszego w Najśw. Sakramencie z pierwszymi chrześcianami. Błądzilibyśmy, mniemając, że oni dla niedościgłej swej świętości nie mogą być dla nas przykładem, obowiązującym do naśladowania. Niewątpliwie wśród pierwszych chrześcian znajdujemy świątobliwość życia, na której wspomnienie rumienić się musimy ze wstydu, ale nie była to jedyna przyczyna częstych ich Komunii: na praktykę ich wpływały w znacznej mierze niebezpieczeństwa, na jakie ich wystawiało życie wśród świata pogańskiego.

Zresztą mylilibyśmy się, przypuszczając, że wszyscy chrześcianie pierwszych wieków byli na wskróś świętymi. Przypomnijmy sobie, że w pierwszych trzech wiekach bywały długie przerwy między poszczególnymi prześladowaniami. W Afryce prokonsularnej przed męczennikami scyllitańskimi, którzy ponieśli śmierć za Septimiusa Sewera, nie widzimy śladu krwi, przelanej za Chrystusa. Przed Decyuszem, który objął panowanie w roku 249, niektóre części państwa rzymskiego nie zaznały prześladowania religijnego od lat 30. Po śmierci Waleryana w r. 259 i po ogłoszeniu edyktu tolerancyjnego przez Galiena, Kościół chrześcijański miał pokój aż po czasy Dyoklecyana t. j. po rok 303. W okresach tych tysiące ludzi wciskało się do Kościoła, którzy nigdy nie marzyli o aureoli męczeństwa. Wybitni członkowie gwardyi cesarskiej, wielkie damy, dworacy, zgłaszali się do Kościoła i uzyskiwali przyjęcie. Już w III. wieku długi pokój wpłynął ujemnie na charakter chrześcian. Prześladowanie Decyusza spadło na bogatych chrześcian Aleksandryi jak piorun z jasnego nieba. Wielu też z nich złożyło przepisane ofiary bóstwom pogańskim, a były to głównie osoby z najwyższych sfer społecznych. Zepsuły ich dni pogodne, jakie przeżywał Kościół tuż przedtem.

Z końcem drugiego a początkiem trzeciego stulecia stosunek chrześcijaństwa do cezarów układał się w ten sposób, że żywiono nadzieję zupełnego zwycięstwa wiary świętej. Nadzieję tę potęgowały wieści, przychodzące od dworu cesarskiego. Marcya, ulubienica Kommoda, była chrześcijanką i znaczny wpływ wywierała na niego. Julia Mammea, matka

Aleksandra Sewera, miała rozmowę z Oryginesem; sam cesarz pomieścił w swej domowej świątyni wizerunek Chrystusa. Filip Arab, powiadano, był chrześcianinem. Ulegając nowym prądom, wielu mężczyzn i wiele niewiast przechodziło, na chrześcijaństwo podobnie, jak się to dzieje za dni naszych, bez głębokiego przejęcia się prawdami Chrystusowemi, bez chęci dźwigania krzyża, bez ochoty ponoszenia ofiar dla przekonań religijnych.

Nie mogło być inaczej; sieci Kościoła zagarniały ryby najrozmaitszego gatunku. Obok Koryntyanina, skłonnego do rozpusty, znalazł się poważny wychowaniec szkoły ateńskiej. Chrystyanizm przedostał się do koczujących Tatarów i do chat plemion Numidyi. Wszystko poddawało się słodkiemu jarzmu Chrystusa; i pesymistyczni Buddyści i Persowie, fanatyczni czciciele ognia i zabobonni a namiętni Afrykanie. Trzeba było czasu długiego, aby te niezliczone tłumy przetrawił kwas Ewangelii. A trzeba pamiętać, że nowi chrześcijanie żyli w świecie i to w świecie pogańskim. Chrześcianki miewały pogan za mężów; ojcowie i matki dziewic chrześciańskich hołdowali pojęciom pogańskim. Życie codzienne chrześcian obfitowało w zawikłane wypadki sumienia; na biesiadach, od których chrześcianin uchylić się nie mógł, podawano potrawy sporządzone z mięsa zwierząt, ofiarowanych bóstwom; wieńczono tam posągi Bachusa i Wenery; czyniono libacye na cześć bogów. Chrześcian wciągali krewni i znajomi na wyuzdane widowiska sceniczne. Wiemy z dziejów, że nie zawsze w tych razach zasada chrześciańska odnosiła zwycięstwo nad pokusą. Św. Cypryan, a właściwie autor, który pod jego imieniem wydał rozprawę *De spectaculis*, opowiada, że pewien chrześcianin udał się do teatru wprost z kościoła, niosąc w zanadrzu Najśw. Sakrament.

Z tego wszystkiego wynika, że częsta Komunia w pierwotnym Kościele nie była zgoła nagrodą świętości chrześcian. Nadto nie należy zapominać, że praktyka ta częstej Komunii trwała nie równie dłużej, niż okres prześladowań. Św. Bazyli powiada, że w jego czasach wierni, zamieszkujący Egipt, przechowywali Najśw. Sakrament w swoich domach. Komunia codzienna była rzadsza, ale w Aleksandryi i w Cesarei wierni komunikowali się jeszcze trzy lub cztery razy co tygodnia. Historya wspomina jeszcze w siódmym wieku o pewnej katoliczce, wydanej za kacerza, która przyjmowała Komunię z ręki sąsiadki, przechowującej w domu swoim Eucharystyę św.

Obok chrześcian żyjących w świecie rosła na uboczu klasa ludzi i niewiast tak liczna, tak co do zwyczajów i obyczajów odmienna, że można ją nazwać innym światem. Mamy tu na myśli niezliczone szeregi osób, znanych pod nieokreśloną nazwą Ojców pustyni. Sposobem życia tak dalece różnili się od pospolitych chrześcian, że warto im przypatrzeć się osobno.

W każdym czasie wyobraźnia chrześciańska zajmowała się chętnie świętymi mieszkańcami pustelni. Po okresie prześladowań żywoty dobrych tych i pełnych prostoty samotników stanowię przedmiot, na którym najmilej spoczywa oko pobożnego badacza dziejów Kościoła. Można powiedzieć bez przesady, że wśród nich ukształtowało się i ujęte zostało w stałe prawidła wewnętrzne życie chrześciańskie. Obawa przed złudzeniami, jakie świat gotuje swym zwolennikom, wstręt do zewnętrznych okazałości i tego, co nazywamy pychą żywota, naturalna prostota, nawet na najwyższych stopniach doskonałości, słodycz i pogoda duszy, miłość chrześciańska i wyrozumiałość na cudze błędy, wszystko to znajdujemy u świętych pustelników. Otwórzmy ascetykę Rodrycyusza, a przekonamy się, że reguły, normujące rachunek sumienia szczegółowy i walki z pokusami, te reguły, któremi dziś się kierujemy, ustalili i przekazali nam pustelnicy egipscy. Pomimo licznych, jakimi rozporządzamy, podręczników do rozmyślań, wielką odnosimy korzyść, jeżeli wracamy do gorących modlitw, jakimi oni wyrażali swe uczucia, tak prostych jak były proste serca te na pustyni żyjące. Mylnie przypuszczano niegdyś, że wielu z tych pustelników rzadko bardzo, a nawet nigdy do Komunii nie przystępowało. Spowodowało tę pomyłkę fałszywe wyobrażanie sobie pustyni.

Dusza prawdziwie chrześciańska czuje osobliwszy pociąg do samotności. Kto na drodze doskonałości postąpił choćby nieznacznie, natychmiast pragnie odosobnić się od ludzi i żyć sam na sam z Bogiem. To zamiłowanie w życiu samotnem objawiło się zaraz w początkach Kościoła, przedewszystkiem w Egipcie. Dolina Nilu jest wązkim pasem zieleni, wydartym puszczy piaszczystej. Tuż obok rojnych i gwarnych miast, środowisk bujnego życia i użycia, handlu i nauki, rozciągnęły się piaski obumarłej i milczącej pustyni. Dusza chrześciańska, kierując się instyktem, że tak powiemy, samozachowawczym, zrywała się, jak gołębica, do lotu w niezmierzone przestrzenie pustynne, aby ujść dusznej, grzesznej atmosfery siedlisk zepsucia. Nawet uroczyste ceremonie w kościele św. Atanazego nie mogły jej skusić do powrotu. W pustyni znajdowała wszystko, czego pragnęła, szukając zaspokojenia swych uczuć pobożnych. Po obu stronach szerokiej rzeki ciągnęły się łańcuchy skał wapiennych. Tam znajdował pustelnik groty jakby stworzone na schroniska dusz zatopionych w Bogu. Egipt, to kraina ruin. Pustelnik mógł bez zwracania na się niczyjej uwagi żyć i ukrywać się w opuszczonych grobowcach. Mógł też zamieszkać w zwaliskach starożytnej świątyni a skupieniu duszy nie przeszkadzały sfinksy, które na niego patrzyły kamiennemi oczyma. Zapuściwszy się dalej w pustynię, anachoreci spotykali, jak św. Antoni, oazy zielone, ocienione palmami, użyźnione wodami strumyka, wypływającego z pośród skał.

Miejsca te znajdowały się często w pobliżu jakiejś wioski, a nawet miasta na Nilem. W takich warunkach anachoreci mogli łatwo pogodzić dwie rzeczy, na pozór nielicujące ze sobą, życie pustelnicze i częste przystępowanie do św. Sakramentów.

Historya wspomina też, że często kapłani wybierali się z miast, aby pustelnikom odprawić Mszę św., a na odwrót także anachoreci udawali się do miasta, aby przyjąć św. Komunię. Mimo odosobnienia anachoreci utrzymywali tedy żywe stosunki z sąsiednią ludnością miejską i wiejską. Dość często przepływali w łodziach Nil, aby sprzedać koszyki, plecione z liści palmowych. W czasie zbiorów opuszczali pustelnię, najmując się za żniwiarzy, podobnie jak nasze obieżysasy. Na sercu im leżało szczególnie nawrócenie pogan i ochrzczonych grzeszników. W tej intencyi robili wycieczki do miast i wiosek, gdzie niekiedy udawało im się wyrwać z toni zepsucia takie Taidy, albo Marye Egipcyanki, które odpokutowawszy swe winy na puszczy, zasłynęły później heroicznemi cnotami.

Oto niektóre szczegóły, przywiedzione na dowód, że Ojcom pustyni nie było zbyt trudno przystępywać często do Komunii św. (C. d. n.)

Psalm 118.

(Ciąg dalszy).

51. Superbi inique agebant usquequaque, a lege autem tua non declinavi.

a) Pyszni działają bezbożnie, czynią zło bez miary, sieją zgorszenie na wsze strony.

1. W naszej szczególnie dobie grasuje szeroko i dzikie orgie święci „superbia et iniquitas quoad intellectum!“

Dzisiejsi przedstawiciele nauki, uzurpując sobie monopol ścisłego badania, z góry spoglądają na wszystkich inaczej myślących i patrzących; głoszą autonomię i zupełną niezawisłość ludzkiego rozumu. Według nich nie istnieje inna prawda jak tylko ta, którą rozum ludzki wytwarza. Sądzą, że Bóg nie ma nic do powiedzenia rozumowi ludzkiemu. Jeżeli wogóle uznają istnienie Boga, to wyobrażają Go sobie jako istotę niedostępną rozumowi; co najwyżej serce, nie pytając rozumu, rwie się ku czemuś nadzmysłowemu, nieuchwytnemu, nieokreślonemu, co nazywa Bogiem. Ale nie jest to Bóg osobowy i żywy, lecz panteistyczna abstrakcya, czcza nomenklatura. Do jakiego zwyrodnienia doprowadza „superbia intellectus“, okazuje obłędna teorya Nietzschego o „nadczłowieku“.

2. Taki Bóg oczywiście nie może nam przepisywać praw. Jest więc autonomia i w dziedzinie obyczajności. Człowiek wytwarza sobie sam prawo moralne; w jednej osobie jest zwierzchnikiem i podwładnym. Zasady tej następstwem, które tysiące ludzi praktycznie wysnuwa, jest: „Ni Boga, ni pana, ni Dieu, ni maître".

Tak z Bogiem swoim obchodzą się stworzenia, które On ma w Swej całkowitej mocy i niezliczonemi dobrodziejstwami obsypuje.

3. Ale i wśród tych, którzy Boga osobowego jeszcze uznają, wielu w życiu codziennem bez Boga się obchodzi. Faktycznie własny ograniczony rozum wynoszą ponad Boga, Jego słowo i naukę Kościoła przekręcają lub wprost ignorują. Żyją i działają tak, jakby nie było Boga, ani Boskich przykazań, jakby człowiek po to jedynie żył, aby zarabiać, posiadać, używać, jakby śmierć kładła koniec wszystkiemu (praktyczny materyalizm).

Dreszcz musi przejąć każdego, kto rozważy tej bezbożności straszne a nieuniknione następstwa.

4. A czy ja w tym względzie nie mogę sobie niczego zarzucić? Czy i ja także moim słabym rozumem nie chciałem wszystkiego przekształcać i rzekomo naprawiać, czy nie mędrkowałem na temat Objawienia i Prawa Bożego, dlatego, że były mi niewygodne? Czy i ja także nie buntowałem się przeciw Prawu Bożemu; czy świadomie i dobrowolnie przeciw niemu nie wykraczałem, a tak nie odmawiałem Bogu posłuszeństwa (non serviam); czym nie działał tak, jakby Boga nie było, lub jakby On nie miał prawa mi rozkazywać?

Straszna to zbrodnia — coby się stało ze mną, gdyby nie cierpliwość i litość Boga? Odtąd już nie tak będzie:

b) A lege tua non declinavi (declinabo). Im bezbożniej postępują pyszni, tem silniej pragnę ja przywiązać się do Twego Słowa i Prawa i ani krok nie odstąpić od nich moim rozumem i moją wolą. Twoje Słowo i Prawo (nie moje uprzedzenia i skłonności) będą mi prawidłem wiary i życia. Według nich będę wszystko oceniał i wszystkie moje czyny kierował.

W tem przedsięwzięciu utwierdza mię to, co święty Pieśniarz mówi w następnym wierszu:

52. Memor fui iudiciorum tuorum a saeculo, Domine, et consolatus sum.

a) Gdy mnie ogarnia rozpacz i otucha odbiega na widok złego, panoszącego się na świecie, wtedy myślę „o sądach Twoich od wieku". Nie brakło nigdy pysznych, buntujących się przeciw świętemu porządkowi. Ich straszny szereg rozpoczyna Lucyfer. Przejdźmy myślą, co nam opowiadają księgi święte i dzieje kościelne; zobaczmy legiony buntowników przeciw Bogu i świętemu Kościołowi Jego. Co stało się z nimi i gdzie są teraz? Weźmy tylko jednego Nabuchodonozora. Królem

królów zwał się, czci boskiej dla siebie żądał, dumne słowa wyrzekł: „Quis est Deus, qui de manu mea vos posset eruere?“ I spadł do rzędu zwierząt. (Tu na myśl cisną się nasi dzisiejsi filozofowie, którzy Bogiem ogłaszają człowieka — a równocześnie wywodzą jego genealogię od zwierzęcia). Zawsze sprawdzały się słowa: „Deposuit potentes de sede et exaltavit humiles“. Codziennie fakta mogą przekonać nas o prawdziwości słów Pisma św: „Vidi impium superexaltatum et elevatum sicut cedros Libani. Et transivi et ecce non erat; et quaesivi eum, et non est inventus locus eius“ (Ps. 36, 35 n.).

Jeżeli „iudicia Dei“ już na tym świecie rozgrywają się nad pysznym grzesznikiem, cóż dopiero będzie na sądzie ostatecznym! (Porów, wstrząsający opis Mądr. Roz. 5 i słowa Makkabejskich braci i ich matki (2 Makk. Roz. 7.).

b) Czyż tedy pamięć strasznych sądów Bożych może nam dać pociechę? Tak

1. Nasze poczucie sprawiedliwości oburza się na widok, że święta sprawa Boga i Kościoła trafia na trudności, wzgardę, opór, podczas gdy zuchwała bezbożność tryumfuje, coraz szersze kręgi zatacza i bezkarnie szydzi z Najwyższego. Doznajemy więc pociechy, gdy pomyślimy, że przecież w końcu zamiary Boga zwyciężą, Jego mądrość i moc tem świetniej rozbłysną a bezbożność tem głębiej runie. „Deus patiens quia aeternus“. Boże młyny mielą zwolna, mielą jednak doskonale.

2. Może i nas zwalczają i prześladują „pyszni“, krzyżują nasze najlepsze zamiary i chęci, może nasi przeciwnicy czasowo tryumfują. Nie traćmy odwagi. Bóg widzi nas; nasze trudy i prace nie zginą marnie, lecz otrzymają od Niego nagrodę. Gdy przyjdzie czas, wtedy dopełnią się wyroki Jego — i z weselem będziemy zbierali, cośmy ze łzami siali.

Atoli, chociaż Objawienie i sądy Boga mogą nas pokrzepić i pocieszyć, przecież aż nazbyt często zdarza się, co mówi wiersz następny:

53. Defectio tenuit me pro peccatoribus, derelinquentibus legem tuam.

„Defectio (animi) tenuit me“. Słowa te mogą oznaczać:

a) Bezwładność, upadek ducha, przygnębienie ogarniają mnie, gdy widzę jak grzesznicy porzucają Twoje prawo. Lękam się i trwożę

1. o sprawę Bożą i zbawienie dusz. Na to odpowiedź otrzymałem już w wierszu poprzednim: Powinienem pamiętać na „iudicia Dei“ i modlić się, ażeby Bóg rychło dał zwyciężyć Swej sprawie. „Iudica me, Deus, et discerne causam meam de gente non sancta“ (Ps. 42 1).

2. Niemniej lękam się i trwożę o siebie samego. Gdy widzę, jak wielu wpadło w grzechy, nawet kapłanów, którzy lepsi byli odemnie i gorliwiej niż ja pracowali — czyż, znając słabość i chwiejność moją, nie muszę obawiać się, abym

nie zeszedł na bezdroża? Taka obawa jest bardzo zbawienna. Powiada przecież Apostoł: „Considera te ipsum, ne et tu tenteris“ (Gal. 6, 1); a w innem miejscu: „Qui se existimat stare, videat, ne cadat“ (1 Cor. 10, 12). Ale nie wolno mi tracić nadziei. Im mniej ufam sobie, tem wyżej rosnąć winna moja ufność w Bogu. Por. wiersz 49: „Memor esto verbi tui, in quo mihi spem dedisti“.

b) „Defectio etc.“ Jestem przygnębiony i smutny, bo lituję się nad nędzą grzeszników. Jak srogi ich los! Już teraz pozbawieni miłości i łaski, wyzuci z opieki i błogosławieństw Boga, miotani niepokojem, dręczeni wyrzutami sumienia, żyją w ciągłem niebezpieczeństwie złej śmierci. Co będzie dopiero za grobem! Wśród moich krewnych, przyjaciół, konfratrów, wśród dusz powierzonych mej pieczy są tacy nieszczęśliwi grzesznicy. Jakżeż nie mam powiedzieć z Apostołem: „Tristitia mihi est magna et continuus dolor cordi meo... pro fratribus meis“ (Rom 9, 2 n). Kto jest obojętny, ten niema prawdziwej, wielkiej miłości. Ale czcza litość i boleść nie zaradzą niedoli. Zapytaj sam siebie: czy czynisz wszystko, co w twej mocy, dla biednych grzeszników, zwłaszczca blizkich tobie i żyjących w twojej parafii? Czy na kazalnicy starasz się przywieść ich do pokuty? Jak obchodzisz się z nimi w konfesyonale? — A ponieważ sam tak mało możesz, czy zwracasz się do Tego, który wszystkie serca dzierży w Swej dłoni? Czy polecasz ich najświętszemu Sercu Jezusa? Czy czynisz to z serdeczną natarczywością i niezłomną stałością? (Rozpocznij to zaraz). Czy modlisz się za nimi do Matki miłosierdzia, do Ucieczki grzeszników? (Różaniec Bolesny, Bractwo Serca Maryi). Czy Bogu ofiarujesz od czasu do czasu małe umartwienie za biednych grzeszników (w ogóle, lub niektórych, szczególniejszej pieczy twojej powierzonych), czy myślisz o nich przy mszy świętej?

c) Defectio etc. może także znaczyć: Prawie że umieram z gniewu sprawiedliwego i z gorliwości, że Bóg tak obrażany, Kościół tak zapoznany i prześladowany, dusze wystawione na tyle niebezpieczeństw i szkód. Ale jakkolwiek na pochwałę zasługuje święty gniew i gorliwość, powiedzmy to sobie jasno i wyraźnie, że sam gniew i sama gorliwość w cichej izdebce nie na wiele się zdadzą, a jeszcze mniej pomoże łajanie na ambonie. Więc zapytaj się: do czego cię skłania ten gniew i ta gorliwość? Czy stajesz odważnie w obronie Boga i Kościoła wszędzie tam, gdzie tego wymaga twój obowiązek i gdzie nadarzy się sposobność? Czy ci w tem nie przeszkadza obawa, aby nie stać się persona ingrata i nie doznać porażki przy ubieganiu się o beneficium? Może jesteś szorstki i gwałtowny dla ubogich grzeszników, lecz względem możnych usłużny i pokorny? Jak walczysz ze złą i gorszącą prasą? Co czynisz dla rozszerzenia dobrych pism, kalendarzy, książek? Czy znasz

dokładnie pod tym względem stan swej parafii? Co czynisz dla katolickich stowarzyszeń? Jak walczysz z istniejącemi może zakusami, aby parafię twoją pozyskać dla socyalnej demokracyi i t. d.? Czy masz wielu robotników w swej parafii? Czy masz w swej parafii stowarzyszenia robotników katolickich i czy starasz się o nie? Jak dawno były misye w twojej parafii? Czy nie są one teraz pożądane? Czy myślałeś już o tem i poczyniłeś kroki wstępne?

Możnaby postawić tu jeszcze inne pytania a odpowiedź na nie objaśniłaby rodzaj i stopień twojej gorliwości. Zadaj je sobie sam przed Panem w Przenajświętszym Sakramencie. Zapytaj Go, czego życzy Sobie od ciebie, i przyrzeknij, że będziesz służył Jego sprawie bez złej obawy przed ludźmi i bez względu na własną wygodę.

Widok losu strasznego grzeszników natchnął świętemu Pieśniarzowi słowa wiersza następnego:

Cantabiles mihi erant iustificationes tuae in loco peregrinationis meae.

Niech będzie Chrystus pochwalony!

Niech będzie Chrystus pochwalony!
Rozgłośnie grają wiejskie dzwony,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony,
Iż dziś wstępuje na zagony,
By błogosławić naszym stronom,
By rosę zesłać czarnej roli,
Przynieść pociechę krwawej doli,
By błogosławić przyszłym plonom.

Niech będzie Chrystus pochwalony!
Serdecznej pieśni płyną słowa,
Lud na kolanach pochylony
Wita w pokorze swego Pana —
„Niechaj Twa chwała będzie znana
Po wszystkie czasy — Twoja mowa“ ...

W słońcu się mienią feretrony,
Chorągwie lśnią się, by motyle;
Drogi zielenią umajone
I w tataraku wonne ziele;
Pan dzisiaj rzeszą otoczony
Nawiedza ludu swego ściany
I błogosławi sady — łany ...

Niech będzie Chrystus pochwalony!
Iż wchodzi w zagród nędzne progi,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony!
Chyli się przed Nim lud ubogi —
„Niech będzie wiecznie uwielbiony“
Rozgłośnie głoszą wiejskie dzwony,
Wtórzą im sady — srebrne łany,
Iż je nawiedził Pan nad Pany...

P. Świerzko.

Jezus w Eucharystyi Najśw. jest naszym Lekarzem.

Szczęśliwe były to czasy, kiedy Zbawca chodził po judzkiej ziemi, ucząc i cuda czyniąc. Gdziekolwiek się pokazał, znoszono całe gromady chorych i kalek, a On „uzdrawiał wszystkich“. „Przeszedł, dobrze czyniąc“. Leczył ciała, ale, co stokroć ważniejsze, leczył też dusze, dla których ratunku zstąpił na ziemię. W raju spożył człowiek owoc zakazanego drzewa i skutkiem łakomstwa popadł w nieuleczalną chorobę: grzech nieposłuszeństwa zatruł dusze i ciała, jeden grzech sprowadził za sobą szeregi innych, rozniósł straszliwe spustoszenie na kraje całe, aż wreszcie rzucił ludzkość wszystką na łoże boleści i nędzy i z śmiertelnie chorej, okrytej wstrętnym trądem, wysysał ostatnie resztki sił... W najgroźniejszej chwili nadeszła zbawcza pomoc, z nieba zstąpił miłosierny Samarytanin, wlał oliwę swej łaski i wino swej potęgi w jątrzące się rany ludzkości, wziął ją na boskie ramiona, zaniósł do gospody Kościoła św. W szlachetnej tej posłudze Sam odniósł śmiertelne rany... „Prawdziwie, boleści nasze On nosił... Krwią Jego jesteśmy uleczeni“. O, pozdrów z czcią niebieskiego lekarza w Hostyi Najśw. Właśnie w Niej Lekarz najświętszy prowadzi dalej i dokonywa zaczętego na krzyżu dzieła uzdrawiania rodu ludzkiego. Krwawą Ofiarą krzyżową pokonał „zapłatę grzechu“, śmierć; — w Hostyi Najśw. pragnie leczyć wszystkie pozostałości przebytej choroby. Jak liczne są duchowe niedomagania duszy, powracającej do zdrowia! Zaród złego, przewyższającego wszelkie zło doczesne, jad zepsucia, nurtującego w ukryciu, jednem słowem: pożądliwość tkwi głęboko w ciele i krwi człowieka. Straszna śmierć Jezusa wstrząsnęła nią do gruntu, osłabiła jej zabójcze działanie, wyjednała

nam siłę do walki z nieprzejednanym wrogiem, ale zupełne zniszczenie wszystkich skutków grzechu zastrzegł On Sobie jako Eucharystycznemu, zbawczemu Lekarzowi. Tu dopiero możemy uzyskać zupełne zdrowie. Dlatego mówi Pismo św: „Czcij lekarza dla potrzeby, albowiem Najwyższy stworzył go; od Boga jest wszelkie lekarstwo“. (Eccli. 38. 1) Jak doskonale stosują się te słowa do Jezusa eucharystycznego: Pan jest Lekarzem i lekarstwem zarazem, od Boga nam danem. O, szanuj tego Lekarza, bo On jest mądry, pełen tkliwej względności i zawsze gotów spieszyć z pomocą.

Lekarz prawdziwie mądry, wyposażony w naukę i doświadczenie, zdoła w jednej chwili poznać rodzaj choroby i zadać stosowne lekarstwa. A któż zna lepiej słabości i ułomności duszy naszej jak Jezus, Bóg-Człowiek? Ciało i duszę naszą leczy boskiem Ciałem i Duszą swoją, naszą grzeszną istotę oddaniem na uzdrowienie nasze Swojej Istoty Najśw.; ten zbawienny wynalazek to dzieło Jego Mądrości, a skutek jego niezawodny. Dusza, która używa lekarstwa onego wedle przepisu Lekarza, z pewnością zdrowie odzyska! „Jeżeli tylko dotknę kraju szaty Jego, będę zdrową“ mówiła sobie chora niewiasta. Czy zawiodła się? W Komunii Najśw. nietylko dotykamy się kraju szaty Jego, ale i Samegoż przyjmujemy do chorego serca; musi zatem nastąpić zupełne uleczenie, przemiana naszej natury, poprawa wszystkich sił duszy; krążyć poczyna w nas ożywczy, zdrowy prąd duchowego odnowienia, i uzdrowienie zupełne następuje w miarę współdziałania duszy i wierności przepisom i poleceniom Najmędrszego Lekarza.

Boski Lekarz jest nietylko mądry ale i pełen tkliwej względności. Nietajne mu wszystkie twoje choroby, rany i kalectwa, więc On cię nie dręczy przykremi badaniami, nie zdradzi też nikomu twych ułomności. Łagodnie, delikatnie, z przedziwną zręcznością wyszukuje twe rany, by je Najśw. Sakramentem leczyć; od zewnętrznych stopniowo przystępuje do coraz głębszych ran; wszystkie przewiązuje opaską cierpliwości i pobłażania niezrażonego niczem; usuwając złe, nie naraża cię nigdy na niepotrzebne cierpienia i znosi z niewyczerpaną dobrocią utrudnienia i zawody, które mu sprawia niepoprawna lekkomyślność twoja. A przytem jakże słodkie daje ci lekarstwa! „Dałeś im Chleb z nieba, mający w sobie wszelkie słodycze“.

Boski lekarz jest zawsze gotów spieszyć na pomoc. Ani pora niedogodna, ani czas spóźniony nie są Mu przeszkodą, żadna droga Mu za przykra, żadna choroba za wstrętna. Gdy ktoś lekko chory, nie odmawia pomocy; gdy ciężko chory wzywa Go, spieszy, biegnie co tchu, a choć chory często jest oporny i nieposłuszny, On się nie zraża, lecz usiłuje zwyciężyć go dobrocią

Wszystkie tedy przymioty, właściwe szlachetnemu lekarzowi, błyszczą w Hostyi Najśw. Któż nie potrzebuje Jego opieki, aby zupełne zdrowie duszy odzyskał? Duszo chrześcijańska, ty kochasz eucharystycznego Lekarza, więc powierz Mu się ufnie i zawołaj: „Panie, ten, którego miłujesz, choruje — przyjdź i uzdrów mię!“

Uwielbienie. Uwielbiam Cię, o Jezu, w Hostyi Najśw. obecny, jako jedynego lekarza mej biednej duszy. Tyś jej przywrócił utracone zdrowie i nadal je w niej utrzymasz. Niech będzie wiecznie wysławiona Twa litość!

Dziękczynienie. Zasłużyłeś, o Panie! na nieskończone dzięki, za cudowne lekarstwo Ciała i Krwi Twojej Najdroższej, za miłosierdzie, jakiem odpowiadasz na moje ciągłe niewierności.

Przebłaganie. Ileż razy udaremniałem Twoje trudy, o Boski Lekarzu, sprzeciwiałem się Twym przepisom i dlatego czyniłem choroby moje jakgdyby nieuleczalnemi! Ze łzami głębokiego żalu wyznaję moje winy i przepraszam za wszystko.

Prośba. Zawsze, o Panie, potrzebuję Twojej pomocy, toteż błagam z pokorą i teraz: Miej cierpliwość nademną... ulecz duszę moją.. „jeszcze więcej obmyj mię od nieprawości mojej, a od grzechu mego oczyść mię!“

Modlitwa: „Duszo Chrystusowa“...

Nieco szczegółów z życia Piusa X.

Kanonik w Treviso.

Powołując proboszcza ze Salzano do grona swych doradców, biskup zamierzał dać wyraz poważaniu, jakiem otaczał ks. Józefa Sarto. Zarazem, znając trudne jego położenie materyalne, w które popadł skutkiem dobrego serca, chciał przeszkodzić dalszemu wzrostowi kłopotów jego finansowych.

Ksiądz Sarto wszedł w posiadanie stalli 28. listopada 1875. w pierwszą niedzielę adwentu.

Nie na samo odmawianie brewiarza w chórze biskup Zinelli sprowadził go do Treviso; równocześnie powierzył mu obowiązki kanclerza i przewodnika duchownego kleryków. W seminaryum miał wikt, nie potrzebował zatem prowadzić gospodarstwa, a temsamem mógł bez naruszenia równowagi w budżecie obracać niewielkie dochody z kanonii na potrzeby ubogich.

Gdy ks. Sarto po raz pierwszy wstąpił na ambonę w Seminaryum, przemówił do słuchaczy w te słowa: „Drodzy moi, zapewne wyobrażacie sobie, iż jestem jeden z tych ojców duchownych, którzy, bogaci w doświadczenie nabyte w towarzystwie młodych ludzi, zgłębiwszy liczne a doborowe dzieła ascetyczne i teologiczne, obdarzeni wybitnym talentem krasomowczym, mieliby wszystkie warunki po temu, by wami bezpiecznie pokierować na drodze, jaką wybraliście za natchnieniem bożem. Otóż pozwólcie, że otwarcie wyznam, iż prawie żadnej z wymienionych zalet nie posiadam; jestem sobie pospolitym plebanem wiejskim a przyszedłem tutaj z woli Bożej. Skoro zaś Pan Bóg tak zarządził, musicie z losem się pogodzić, słuchać nauk wiejskiego proboszcza i wybaczyć, jeżeli nie wszystko, co powiem, dosięgnie wysokości tego stanowiska, jakie przełożeni powierzyli mnie niegodnemu“.

Nastąpiła teraz właściwa nauka wstępna, która rozentuzyazmowała wszystkich seminarzystów, starszych i młodszych.

Od tego występu inauguracyjnego rozpoczęły się regularnie miewane rozmyślania i konferencye duchowne. Ksiądz Sarto bezpretensyonalnie, bez szukania sztucznych efektów, po prostu, spokojnym głosem usiłował wprowadzić umysły młodzieży w samo jądro głębokich prawd chrześcijańskich, a cel zamierzony osiągał w zupełności; alumni bez trudu przejmowali się jego myślami i przyswajali sobie prawdy, podane ku rozważaniu.

Nauki jego były przedewszystkiem praktyczne; nie zapuszczał się w subtelne badania, do których umysł młodzieńczy nie jest dostatecznie przygotowany; liczył się z tem, że wychowankowie jego nie przepędzą żywota w świętem ustroniu klasztornem, lecz pójdą w świat, pełen niebezpieczeństw, by go nawracać, poprawiać, uświęcać a równocześnie pamiętać o własnej duszy. Tematów praktycznych nie potrzebował szukać w książkach; brał je ze swojego doświadczenia, którego nabył na posadach wikarego i proboszcza. Świat, odmalowany w książkach, często różny jest do niepoznania od rzeczywistego.

Troskliwy niezmiernie o dobro duchowne powierzonej sobie młodzieży, ks. Sarto nie zapominał o jej doczesnych potrzebach; dotąd jeszcze żyje niejeden z wychowanków, który doznał na sobie tkliwej jego opieki; jeżeli nie stać było którego na sprawienie sobie nowego ubrania, ojciec duchowny ze skromnych swych funduszów zaradzał potrzebie, nie cofając się przed znaczniejszym nawet wydatkiem.

„Znalazłem się pewnego dnia w bardzo fatalnem położeniu", tak opowiadał pewien ksiądz, który za czasów księdza kanonika Sarto był alumnem seminaryum duchownego w Treviso. Rodzinie mej wypadło bezzwłocznie zapłacić 150 franków, pod grozą wielce przykrych następstw. Kwota taka może wydawać się drobną, lecz wtedy dla nas była ona znaczna, ojciec mój bowiem był biednym robotnikiem, który zwyczajnie nie zarabiał więcej jak 60 centymów na dzień. Zwierzyłem się ze swojem zmartwieniem jednemu z kolegów.

Wiesz, coś powinien uczynić?

— Cóż takiego?

— Idź do ks. kanonika Sarto; on jest tak dobry! kto wie, co będzie!...

Nie namyślając się wiele, poszedłem do ks. Sarto. Byłoto już wieczorem, zastałem go, jak zawsze, przy stoliku, zupełnie pogrążonego w książkach i papierach.

— Czego chcesz? rzekł, spostrzegłszy mnie.

— Wielkiej łaski, odrzekłem, drżąc ze wzruszenia.

Następnie od słowa do słowa wyznałem całą prawdę.

— Mój kochany, powiedział, jestem istotnie sam w kłopocie, nie trafiłeś w dobrą porę. Czy uwierzysz, mam zaledwie kilka franków w kieszeni.

Po tych słowach z kieszeni sutanny, w której zwykł był nosić zawsze cały swój majątek, wyciągnął kilka sztuk monety, które mi pokazał na dłoni. Widząc, że prośba moja nie będzie wysłuchaną, rozpłakałem się na dobre. Ksiądz Sarto rozrzewnił się, wstał i rzekł:

„Odwagi synu, kto wie, czy Pan Bóg nie pomoże! Przyjdź do mnie jutro, jeżeli nie 150, to może uda się znaleść przynajmniej 100 franków".

Pocieszony, zgłosiłem się nazajutrz.

„Czy myślisz, że ja mam fabrykę banknotów"? tem pytaniem przywitał mnie kanonik.

Spoglądnąłem nań, a wnosząc z poważnej jego twarzy, iż nie mam się czego spodziewać, znowu wybuchnąłem płaczem.

— Uspokój się, stare dziecko, za co mnie masz? za dziada? Mam pieniądze! — To mówiąc, wyciągnął szufladkę z biurka i wręczył mi 150 franków.

— Niebawem zostaniesz księdzem; skoro będziesz mógł bez zbytniego uszczerbku dla siebie, zwrócisz mi tę sumę, gdyż umyślnie dla ciebie ją pożyczyłem.

Oto jeden z niezliczonych dowodów miłosierdzia, jakiem odznaczał się kanonik Sarto. Jest wiele rodzin w Treviso, które mogłyby opowiedzieć, jak wydatnie ratował ich w niedostatku, do którego wstydziły się przyznawać publicznie i jak mocno czuły jego nieobecność, gdy został przeniesiony do innego miasta.

Nie jest prawdą, co pisało kilku autorów o Piusie X., że był profesorem teologii w Seminaryum w Treviso. Nie wykładał tam

moralnej, czy dogmatyki lub Pisma św., ani żadnego innego przedmiotu. Był tylko w latach 1883—1884 nauczycielem religii w liceum. Ci, którzy mieli szczęście zaliczać się do jego uczniów, przypominają sobie jeszcze dzisiaj jego ojcowskie iście postępowanie, jasny i systematyczny jego wykład, właściwy mu dar popularyzowania wiedzy, choćby szło o prawdy najtrudniejsze do zrozumienia. Nie posługiwał się podręcznikami; lecz po gruntownym wykładzie ustnym dawał uczniom streszczenie na kartkach, które sam litografował. Kilku jego uczniów zachowało do dziś dnia z pietyzmem te skrypta.

Ks. Sarto nie zajmował się tylko uczniami klas wyższych. Równą przyjemność sprawiało mu przygotowywanie dzieci do pierwszej Komunii św.

— Księże kanoniku, zanadto obarczasz się, zostaw nam dzieci, masz bowiem dosyć innych zajęć; tak mawiał do niego ks. Antoni Jacuzzi, wicerektor seminaryum duchownego w Treviso a przedtem wikary w Riese.

— Drogi księże Antoni, odpowiadał ks Sarto, jestem ojcem duchownym całego seminaryum, do mnie należy ta praca.

Przechadzki, mimo iż była dlań konieczną, pozbawiał się jedynie z tej przyczyny, że chciał w kościele uczyć katechizmu dzieci ledwie dziesięcioletnie. Dzieci, które również z przechadzki czyniły ofiarę, by mogły być na nauce księdza Sarto, z okrzykami radości przyjmowały wiadomość, iż wykład się odbędzie. Umiał on dziwnie zniżyć się do poziomu dziatwy i objaśniać im przystępnie artykuły wiary.

Z profesorami Seminaryum łączyły księdza Sarto stosunki bardzo serdeczne i szczere. Godzina, jaką spędzał w ich gronie przy obiedzie po załatwieniu żmudnych czynności kanclerskich, była jedyną jego rozrywką. Odłożywszy na bok płaszcz i kapelusz z nierozłącznym zwojem papierów, które miał zwyczaj zabierać z kancelaryi, by wieczorem przy świetle lampy seminaryjskiej w nich się rozpatrzeć — zdawał się zapominać o trudach, jakie przebył w ciągu dnia; zawsze był pełen życia: zaczepił jednego, drugiemu rzucił jakieś dowcipne słówko, z innym wszczął dysputę; jednem słowem, jak wyraził się jeden z jego kolegów, królował przy stole a gdy przypadkiem zabrakło go kiedy, wszyscy spostrzegli ten ubytek i posępnieli.

Żywem usposobieniem, bujną wyobraźnią, niewymuszoną wesołością zwracał na się uwagę powszechną. Ze starszymi wiekiem był na stopie poufałej, w czem wielce pomocną mu była wielka tabakierka, przywieziona ze Salzano. W gronie młodych dostosowywał się zupełnie do nich, a podbijając sobie serca miłem obejściem, sprawiał, że zgoda i pokój panowały zawsze między przełożonymi w Seminaryum.

Czuwał nad tem aby w czasie tej godziny wypoczynku, jaka każdemu jest koniecznie potrzebną, pomijano w rozmowie wszelkie kwestye zbyt poważne, drażliwe i w ogóle takie, któreby

mogły roznamiętniać i poróżnić braci. W tym celu za zgodą powszechną jednemu z profesorów, zabronił pod grzywną wymawiać słowa „logika“.

Ks. kanonik Sarto także w Treviso dał się poznać jako świetny mowca. Zapraszano go tedy z kazaniami nie tylko w dyecezyi, ale i poza jej obrębem.

Raz zobowiązał się do trzynastu kazań w kościele św. Antoniego w Padwie. Nie mogąc z powodu licznych zajęć w dzień przygotować sobie nauki, musiał je układać bardzo wczesnym rankiem. Obawiając się jednak, by znużony pracą całodzienną, nie przespał godziny trzeciej rano, zobowiązał swego służącego, który byłby za swym panem w ogień skoczył, by go o oznaczonej godzinie budził. Jan Marcuzzi był pod tym względem bardzo dokładny. Już przed godziną trzecią rano, zaopatrzony w latarnię, wychodził ze swej stancyjki na ostatniem piętrze umieszczonej i zbliżał się milczkiem ku drzwiom ks. kanonika Sarto, nadsłuchując, kiedy zegar zacznie wybijać godzinę. Za pierwszem uderzeniem pukał do mieszkania kanonika. Bezzwłocznie słyszał odpowiedź z wewnątrz: „Dziękuję, zaraz wstaję“. Wierny Jan po tych słowach oddalał się, zadowolony bardziej może aniżeli generał po wygranej bitwie.

Kanonik Sarto wiedział, że służący wielką wagę do tego przykłada, iżby mógł się pochwalić, że budził księdza kanclerza. Dlatego też, kiedy przypadkiem wstał przed oznaczoną godziną, skoro tylko posłyszał szelest pantofli posuwających się wzdłuż korytarza, szybko gasił światło i w jak największym spokoju wyczekiwał pukania, na które odpowiadał wedle zwyczaju. Nie chciał bowiem służącego pozbawiać tej przyjemności, jaką mu sprawiało punktualne spełnienie obowiązku.

W pokoju przyległym do mieszkania ks. Sarto mieszkał ks. Franciszek Zanotto, później profesor w rzymskiem collegium Leona. Często, gdy zauważył, iż ks. kanclerz mimo późnej bardzo godziny jeszcze zajęty jest pracą, wołał, pukając do ściany:

— Księże kanclerzu, proszę iść już raz na spoczynek a resztę spraw na jutro zostawić; im dłużej się pracuje, tem gorzej się pracuje.

Na to odbierał odpowiedź:

— Ksiądz Franciszek ma słuszność, dlatego proszę czasu nie marnować i spać smacznie; dobrej nocy.

Potem ks. Sarto oddawał się pracy, którą przeciągał niekiedy poza północ Koło czwartej rano był znowu na nogach.

Właściwem polem działania ks. Sarto w Treviso była biskupia kurya, gdzie na głowie swej miał sprawy całej dyecezyi. Był wprawdzie tylko kanclerzem, ponieważ jednak biskup po przebyciu ataku apoplektycznego niewiele mógł natężać się, a wikaryusz generalny skutkiem sędziwego wieku podupadł na siłach, sekretarz zaś biskupi prawie zawsze chorował: ks. Sarto musiał zająć się całą korespondencyą urzędową.

W załatwianiu spraw był niezrównany, o czem świadczy choćby następujące opowiadanie, odnoszące się właśnie do owych czasów.

W pewnej małej wiosce młody mężczyzna nie chciał zwolnić z danego słowa dziewczyny, która zaręczywszy się z nim, zgłosiła się do ślubu z innym. Proboszcz, nie mogąc dojść do ładu ze stronami spornemi, odesłał skarżącego do kanclerza kuryi biskupiej w Treviso.

Ks. Sarto, poinformowany ogólnikowo, o co chodzi, przyzwał dwóch świadków i wobec nich tak przemówił do młodzieńca:

Słyszę, że sprzeciwiasz się temu, aby dziewczyna X. wyszła za mężczyznę Z. Czy jest to prawdą?

— Tak.

— Lecz mój kochany, czemu czynisz jej przeszkody?

— Czemu? powtórzył młodzieniec.

— Tak! czemu to czynisz?

— Księże kanclerzu, ksiądz dobrze wie, czemu. Przyrzekła, że mię poślubi, przyjmowała odemnie prezenta, pierścionki... Oto czemu stawiam przeszkody.

— Powoli, powoli mój kochany. Powiedz mi, czy narzeczona twoja jest osobą przyzwoitą, uczciwą, dobrą? czy też może przeciwnie grzeszy zalotnością i ma zawróconą głowę?

— Gorzej jeszcze, odparł żywo młodzieniec. Jestto liche stworzenie, wstrętna figura ...i, zapalając się, przydał pokaźny szereg niepochlebnych epitetów.

Gdy już wyliczył ich sporo, kanclerz uznał, że nadeszła chwila pomyślna i kładąc tamę dalszemu wylewowi uczuć pokrzywdzonego oświadczył:

— Dosyć, to mi wystarczy. Czy dziewczyna ta jest naprawdę taką, jaką mi ją odmalowałeś?

— Z całą pewnością, odrzekł zapytany.

— I ty, człowiek porządny, pragnąłbyś związać się dozgonnie z tego rodzaju osobą? Powiedz mi otwarcie i szczerze: chcesz się z nią ożenić? Ja na przykład, jabym się z nią nie ożenił.

— Ani ja, księże kanoniku, ani dziś, ani nigdy. Tyle chyba mam rozumu, że nie zrobię tak koronnego głupstwa.

— Ja sobie to myślałem, rzekł kanclerz, a potem, obróciwszy wzrok na świadków i przekonawszy się, że przesłuchują się uważnie rozmowie, dorzucił:

— A więc, jeżeli nie chcesz z nią się żenić, to po co tu przyszedłeś?

Młodzieniec zdębiał, a po chwili zastanowienia powiedział:

— Toż dopiero ksiądz kanclerz chwycił mnie w sidła!

Ks. Sarto zatarł ręce, pociągnął dobrą szczyptę tabaki, a zwracając się do niedoszłego nowożeńca, pożegnał go słowem:

— Idź w spokoju, nie myśl o tem, co się stało a odstać nie może i bądź dobrym chłopcem.

Niebawem proboszcz otrzymał pismo urzędowe, że może przystąpić do udzielenia osobie X. upragnionego ślubu.

Chociaż był kanonikiem, ks. Sarto nie mógł zaradzić wszystkim potrzebom swej rodziny, a to z powodu dawnych długów i nowych jałmużn. Sprzedał nawet trzy zagony, które uprawiał niegdyś jego ojciec. W spadku po nim rodzinie pozostał jeszcze tylko domek ubożuchny, który mało co nie przeszedł też w ręce obce. Zapobiegł temu stary przyjaciel familii, który tak zwymyślal księdza Sarto, że od zamiaru odstąpił. Dzięki tej interwencyi rodzina Sarto z dumą może pokazywać przybyszom, zwiedzającym Riese, dom, obecnie odnowiony, w którym przyszedł na świat Pius X.

W czerwcu 1879 r., biskup chcąc znowu ulżyć księdzu Sarto w jego kłopotach pieniężnych, dał mu intratniejszą prebendę.

W tym samym roku biskup Zinelli umarł a kapituła 24. listopada obrała jednogłośnie księdza Sarto wikaryuszem kapitularnym, a tak powierzyła mu tymczasowy zarząd dyecezyi. Przez siedm miesięcy, przez które tę godność piastował, ks Sarto rozwinął bardzo żywą i zbawienną działalność; w odezwach, wydawanych do duchowieństwa dyecezyalnego przy rozmaitych okolicznościach, przebija zawsze jedna myśl i uczucie jedno, mianowicie wielka miłość dusz, pragnienie gorące, które stało się później programem rządów papieskich, by wszystko odnowić w Chrystusie.

Mimo wyniesienia na wysokie stanowisko ksiądz Sarto nic nie uronił z dawnej skromności i prostoty. Poza chórem oprócz fioletowego obojczyka nie nosił innych odznak kanonickich, a przykładem swoim zniewolił członków kapituły do używania stroju ściśle dostosowanego do przepisów.

Oto zdarzenie, które nam jasny daje obraz zaradności ks. Sarto w trudniejszych wypadkach.

Pewien kapłan popadł w chorobę umysłową. Naprożno usiłowano pomieścić go w domu obłąkanych. Zawsze potrafił zbiedz, aby wałęsać się po ulicach i zwracać na się powszechną uwagę ekscentrycznem zachowaniem. Wiadomość o tem doszła do kuryi biskupiej. Ks. Sarto polecił przyprowadzić nieszczęśliwego kapłana do kancelaryi konsystorskiej, co też się stało. Chory wysilał się na znaki uszanowania wobec wikaryusza kapitularnego, który znowu zdjęty litością, zbliżył się do niego z wielką uprzyjmością i począł z nim rozmawiać.

Po chwili ks Sarto rzekł:

— O żeby to ksiądz wiedział, jaka ciężka praca w tej kancelaryi!

— Jestem o tem przekonany, odparł chory.

— Proszę spojrzeć, dzisiaj powinienbym załatwić wszystkie te pisma, co powiedziawszy, wskazał na potężny plik papierów, nagromadzonych na stole. Lecz zamiast referować, muszę wyjść dla sprawy, która jeszcze bardziej jest pilna.

Tak rozmawiając, ks. Sarto wdział płaszcz, wziął za kapelusz i powiedział:

— Żałuję bardzo kochany księże, że nie mogę dłużej pogawędzić z tobą, lecz jeżeli księdzu to dogadza, to proszę mi towarzyszyć; po drodze wygadamy się do woli.

Ależ z przyjemnością, będzie to dla mnie nielada zaszczyt.

Szli więc razem, rozmawiając o tem i owem, a chory nie pomiarkował się, że zdążają wprost do szpitala. Po drodze biedny ksiądz zdradzał stan anormalny umysłu tem szczególnie, że zaczepiał przechodniów i żądał, aby do ziemi kłaniali się głowie dyecezyi.

Ks. Sarto jeszcze przedtem powiadomił Dyrekcyę o swem przybyciu, gdy więc z towarzyszem przestąpił progi szpitala, lekarze dorozumieli się, o co chodzi. Ks. Sarto wstąpił do poczekalni, do której niebawem przybył służący z oznajmieniem, że Dyrektor przyjmie ks. administratora w swem biurze.

— Za pozwoleniem, rzekł Monsignor do kapłana, wychodzę, lecz wkrótce uporam się z interesem.

— Proszę bardzo, ja będę oczekiwał.

Jak łatwo domyśleć się, ks. Sarto wyszedł, ale nie wrócił już do chorego. Spełnił dobre dzieło, umieszczając chorego w domu, gdzie znalazł troskliwą opiekę.

Dnia 27. lutego 1880 r. papież Leon XIII. mianował biskupem w Treviso ks. Józefa Callegari, profesora w Seminaryum weneckiem; administracya ks. Sarto dobiegła zatem końca. Składając ją w czerwcu tegoż roku, jeszcze raz odezwał się do duchowieństwa dyecezyalnego dziękując za pomoc a polecając usilnie posłuszeństwo i cześć względem nowego arcypasterza. Biskup Callegari, a także jego następca, Mgr. Apollonio, który objął dyecezyę Treviso po przeniesieniu biskupa Callegarego do Padwy, pozostawili ks. Sarto na stanowisku kanclerza, czując, że nie łatwo znaleźliby człowieka tak sumiennie pojmującego swe obowiązki i z takiem poświęceniem pracującego, jak ks. Sarto.

Dnia 30. sierpnia 1884 r. do kancelaryi konsystorza, w której jak zwykle, w aktach zatopiony siedział ks. Sarto, wszedł biskup Apollonio i poprosił go, by udał się do jego pracowni. Po drodze wstąpili do kaplicy domowej; tutaj biskup uklęknął, mówiąc: „Pomódlmy się, bo w tej chwili bardzo nam potrzeba pomocy Bożej". Po modlitwie biskup powstał i uwiadomił księdza Sarto, że został przez Ojca św., Leona XIII., wybrany na biskupa osieroconej stolicy w Mantui. Nominat nie był na tę ewentualność przygotowany i rozpłakał się, jakkolwiek bowiem nieraz odzywały się głosy, które może i jego uszu dochodziły, że posiada wszystkie przymioty biskupowi potrzebne, nie przypuszczał, żeby biskupia godność miała spaść kiedy na jego barki, tem więcej, że o sobie bardzo mało myślał.

Prekonizacya na biskupa odbyła się na konsystorzu papieskim dnia 10. listopada 1885 r., w sześć zaś dni później otrzy-

mał ks. Sarto święcenie biskupię z rąk kardynała Parocchi'ego w Rzymie, w kościele św. Apolinarego. Wieczorem tegoż dnia był na posłuchaniu u papieża Leona XIII. i otrzymał odeń zwykły w takich razach podarunek, pontyfikał ozdobnie oprawny i jako szczególniejszy znak względów papieskich kosztowny krzyż biskupi do noszenia na piersiach.

Zacność cierpienia.

„Kto chce iść za mną, niech weźmie krzyż swój, a naśladuje mnie“.

Często czytamy, słyszymy, przypominamy sobie te słowa najukochańszego Zbawcy naszego; w chwilach porywów gorętszych serce zdaje się nawet z upragnieniem ręce wyciągać ku krzyżowi, wierząc, że sam Jezus go podaje; wówczas łatwym do zniesienia krzyż się zdaje; rozumiemy, że „krzyżem trzeba do nieba kołatać“, a my przecież niebo kochamy, za niem tęsknimy!

Rozum, oświecony nauką Chrystusa Pana, pojmuje, że tylko droga krzyża doprowadza człowieka do upragnionego celu. Trudno jednak przychodzi sercu pogodzić się z cierpieniem. Za każdym krzyżem serce przez śmierć przejść musi, przez śmierć własnego „ja“, stąd życie staje się prawie ciągłem umieraniem. A to umieranie stanowi właśnie wartość cierpienia, bo dowód naszej miłości ku Panu Jezusowi. Krzyż, któryby nam nie sprawiał cierpienia, nie byłby krzyżem. Że natura nasza zmysłowa na jego widok mimowolnie się wzdryga, to jeszcze nie grzech; Bóg rzeczy niemożebnych od ludzi nie żąda. Ma jednak prawo żądać od nas za miłość niepojętą, jakiej nam dał śmiercią swoją dowody, a której nam nie przestaje okazywać w Hostyi przenajświętszej, pośród nas żyjąc, byśmy z Nim razem umieli i chcieli cierpieć, gdy zajdzie taka konieczność. Czemżebyśmy mogli na niebo zasłużyć, gdyby nas Pan Bóg zawsze słodyczami karmił? — „Drogę do nieba wskazują nam krzyże“. — Niech więc ciebie nie trwoży żadna dolegliwość, ani teraźniejsza ani przyszła! — Czyż podobna wierzyć, że ten kocha cierpiącego Jezusa, kto nie chce z nim dzielić cierpienia? Gdybyśmy zawsze o tem z wiarą pamiętali, że z Cyrenejczykiem dźwigamy krzyż Pański, z jakąż radością cały ciężar krzyża przyjęlibyśmy na siebie. Tymczasem dzieje się inaczej. — W wieczerniku niewątpliwie kochasz Jezusa i zdajesz się całkiem Jemu oddana, duszo! W Ogrojcu już się mieszasz; na drodze krzyża już się wahasz, usuwasz, lękasz, odchodzisz, zdaleka postępujesz za Jezusem; nie przyznajesz się do Niego. Czyż wtedy nawet, kiedy na krzyżu rozpięty w niepojętej ku tobie miłości, cały się za ciebie wydaje, ty, duszo, miałabyś stać z daleka wśród tłumu, który Panu twojemu, twojej miłości urąga? Ty miałabyś

się czuć szczęśliwą wśród tej bezrozumnej tłuszczy? Nie! twoje szczęście pod krzyżem Jezusa, twojego Boga, u stóp Matki Jego Najświętszej! Kto był na uczcie miłości, ten i na Kalwaryi wytrwać powinien, inaczej zdradza jak Judasz, lub jak Piotr się zapiera.

Tchórzostwo w cierpieniu nie przystoi uczniowi Chrystusa Pana, który w Ogrojcu sam naprzeciw szukającej Go zgrai wychodzi. Gdybyśmy naprawdę duchem wiary byli przeniknieni, wołalibyśmy raczej do Pana: „Rozciągnij mnie na krzyżu miłości Twojej; przybij mnie doń gwoździami pragnień gorących, aby tak skrępowana wola moja cała Tobie oddaną była. Przybij bok mój, by serce moje raz na zawsze umarło sobie samemu, a żyło Tobą, tylko Tobą!“ — Do św. Teresy powiedział Pan Bóg te słowa: „Wiedz o tem, że dusze, które Ojciec mój bardziej umiłował, większym podlegają cierpieniom“. — Św. Augustyn powiada, że za pomocą cierpień odróżnić można plewy od ziarna w Kościele Bożym; kto się w cierpieniu upokarza i poddaje woli bożej, jest ziarnem dla nieba; kto się niecierpliwie buntuje i w gniew wpada, staje się plewą dla piekła.

Życie nasze to stroma i ślizka ścieżka nad przepaścią piekielną, niesłychanej więc z naszej strony potrzeba uwagi i czujności, by się nie potknąć, nie stracić równowagi i nie stoczyć się na dno tej czeluści; owoż cierpienie bywa nieraz w chwili największego niebezpieczeństwa znakiem ostrzegawczym. Pan, szanując wolność naszą, nie zadaje nam gwałtu, lecz mówi: „kto chce iść za mną, niech weźmie krzyż“. Ale chcieć krzyża, jest obowiązkiem, od którego uchylać się nie wolno. Bez krzyża niema zbawienia. Są chwile upojenia duszy, jako nagroda tych, którzy Chrystusa miłują; chwile, w których zapomina się całkiem o sobie, a żyje się i trwa w jakimś jasnym, świetlanym kręgu szczęścia, które wydaje się niebem na ziemi; jednak są to tylko chwile, po których na nowo Chrystus krzyż swój wkłada i dalej dźwigać każe duszy umiłowanej przez siebie. — Jeżeli potrzeba było, aby tak wszedł Chrystus Pan do chwały swojej, jakżebyśmy się tam dostać mogli bez krzyża?

Pan Jezus przeniósł twoje zbawienie nad życie własne, cóż przeto wielkiego czynisz, gdy wolę Jego nad swoje upodobania i przyjemności przekładasz, — mówi św. Alfons Liguori. „Dusze miłujące Chrystusa Pana — mówi dalej tenże święty Doktor Kościoła — szukają sposobności okazania Mu swojej miłości, i znajdują ją w ochotnem znoszeniu krzyżów i utrapień... poddaj się całkowicie woli Bożej, ofiaruj się na wszystkie cierpienia, jakiemi Bóg cię nawiedzić zechce; łącz się z Jezusem na krzyżu cierpiącym; nie pragnij ulgi w cierpieniach, jeżeli ci jej wola Boża dać nie chce; miej gotowość oddać życie na każde skinienie tej najświętszej, najmiłosierniejszej woli Bożej. Postaw przed sobą krzyż, a wpatrując się weń, myśl, jak mało cierpisz w porównaniu z tą męką, którą poniósł dla twego zbawienia Boski

twój Oblubieniec". — Pan Bóg nigdy nie żąda od nas więcej, niż znieść możemy; niechaj tylko tą drogą krzyżów prowadzi nas wiara, pokora i miłość, a mimo wszelkie udręczenia przekonamy się, że brzemię Chrystusowe nie jest za ciężkie.

Jeżeli ból duszę ci szarpie; jeżeli takie ciemności zapanują w tobie, że zdajesz się znikąd nie widzieć ratunku, niech w takich chwilach spojrzenie na Jezusa, krwią zlanego w Ogrojcu, będzie ukojeniem twojem, bo czyż podobna, patrząc na Mistrza umiłowanego, nie naśladować Go, nie chcieć z Nim razem cierpieć? Szukać wesela nieprzystoi oblubienicy cierpiącego Jezusa.

Gdyby dusza twoja z wiarą umiała patrzeć na krzyże, bez dociekań, bez badań przyjęłaby i ten, który ci się najcięższym wydaje narazie, przekonana, że bierze go z rąk samego Chrystusa Pana. Czyż On potrzebuje się usprawiedliwiać przed nami z zamiarów swoich względem nas? Wierzmy silną wolą, że jakimikolwiek nam się krzyże nasze wydają, są dla dusz naszych zbawienne i potrzebne.

„O jakież to nieszczęście, mówi św. Wincenty a Paulo, nie mieć krzyżów! Kiedy nie cierpimy, nie jesteśmy podobni Jezusowi Chiystusowi, a przecie tylko to podobieństwo jest znakiem naszego przeznaczenia do chwały wiekuistej".

„Im bardziej dusza pomnaża się w miłości Pana Boga, mówi na innem miejscu tenże Święty, tem większy postęp czyni w zamiłowaniu przeciwności i upokorzeń".

„Uciekać od krzyża i poniżenia jest to odbiegać swojego szczęścia". — Prośmy Pana, byśmy te słowa doskonale zrozumieć mogli i powtarzajmy często usty i sercem: nie to złe, co mnie boli i bardzo może boli, ale to, co się Tobie nie podoba, mój Boże.

Zwracajmy się często sercem ufnem ku Tej, przez którą wszystko otrzymać możemy, z najgorętszem westchnieniem na ustach: „Ucz nas kochać, choć w cierpieniu; ucz nas cierpieć, lecz w milczeniu"!

Msza święta uwidocznia wszystkie doskonałości Boga.

Jak drogocenny brylant za każdym obrotem coraz nowemi promienieje barwami i w okół przecudne światło rozsiewa, tak i Msza św. wyjawia nam coraz to nowe piękności i świeżo dostrzeżone cuda, jeśli rozważamy ją w świetle wiary. Uwidocznia ona nieskończone doskonałości Boga w ich niezgłębionym ogromie.

1. Skłania nas przedewszystkiem do podziwiania mądrości Boga. Gdy słodki Zbawiciel świata miał rozstać się z uczniami i chciał pozostawić im jakąś pamiątkę trwałą,

a cenną, którąby im zastąpiła Jego żywą obecność w ludzkiej postaci, nie mógł w całem bogactwie istot stworzonych wynaleźć nic lepszego i doskonalszego ponad to, że zostawił im Siebie samego jako Baranka ofiarnego i pokarm ofiarny. Ustanowił tę cudowną tajemnicę, którą wymyśleć mogła tylko niezmierzona mądrość Boga, a urzeczywistnić Jego bezgraniczna wszechmoc. Wziął chleb z mąki pszennej, będący najznamienniejszym owocem ziemi; wziął także wino, krew winnej latorośli, a więc dwa najszlachetniejsze płody królestwa roślin i uczynił je piastunami swego Bóstwa, piastunami Siebie samego; w nich miał się dokonywać niezbadany cud przemienienia.

2. Podziwiać we mszy św. musimy dobroć Boga. W mądrości Swej skrył się Bóg pod postaciami rzeczy stworzonych, by ułomni potomkowie Adama mogli zbliżyć się do Niego bez trwogi i drżenia. Jeśli człowiek nie może gołem okiem spojrzeć w słońce i znieść blasku jego promieni, o ileż mniej byłby zdolen oczyma cielesnemi oglądać Boga w blasku chwały Jego. Uwzględnił Wszechmocny niedołęstwo zmysłów naszych i dlatego wybrał taki sposób przemienienia. Zaledwie spożyte pod postaciami, Słowo wcielone przechodzi natychmiast w ciało i krew komunikującego się, przenika cały jego organizm i człowiek jednoczy się najściślej z Bóstwem, staje się niejako uczestnikiem Boskiej natury.

3. Wszechmocną potęgę Boga objawia we Mszy cud przemienienia (transsubstancyacyi). Cud ten, wobec którego niczem byłoby stworzenie tysiąca nowych światów, tak przedziwnie obmyślanych jak świat obecnie istniejący, cud ten dokonywa się niepostrzeżenie i w największej ciszy. Nawet szelest skrzydeł anielskich nie śmie zdradzić przybycia wielkiego Boga. Niewidzialny zstępuje w postaci chleba i wina Bóg najwyższy, którego nieba niebios ogarnąć nie mogą, którego podnóżkiem ziemia, tronem niebo, a szatą zorza poranna. Gdyby człowiek zdołał zgłębić i przeniknąć tę tajemnicę, musiałby chyba umrzeć z nadmiaru miłości.

4. Miłość Boga. Stworzywszy człowieka jako łącznik między światem duchów, a światem fizycznym, materyalnym i tchnąwszy w jego ziemską powłokę ducha nieśmiertelnego, przeznaczył mu Bóg dla zachowania życia ziemskiego płody królestwa roślinnego. Drzewa Raju, zwłaszcza drzewo żywota rodziły owoce soczyste, jędrne, o przedziwnym smaku i wielkiej pożywności. Gdy człowiek przez grzech utracił Raj, postanowił Bóg w nieskończonej miłości Swej zasadzić dlań nowe drzewo żywota w cieniu Kościoła świętego. — Ziarnko pszeniczne, wyrarastające z łona ziemi i winna jagoda, dojrzewająca w cieple promieni słonecznych, utrzymują człowieka przy życiu fizycznem; z nich odnawia się ciało i krew ludzka; dlatego wybrał je też Bóg, by w porządku nadnaturalnym

służyły do podtrzymania życia iście bożego. Pszenica ani wino nie rosną nigdzie dziko. Człowiek musi uprawiać je w pocie czoła. A dopiero po wypielęgnowaniu i starannem oczyszczeniu stają się te owoce jego pracy godnymi przedmiotami ofiary i po Przemienieniu piastunami Boskiej istoty wcielonego Słowa. Kapłanowi, istocie słabej, grzesznej i ułomnej, wybranej z pośrod wiernych, dał Pan w miłości Swej i za sprawą Ducha świętego tę niepojętą władzę, że mocą słów konsekracyjnych dokonywa Przemienienia. Przy wymówieniu tych słów znika chleb i wino w istocie swej, pozostają jednak postaci, więc zmysły nie dostrzegają żadnej zmiany. Wiara tylko rozpoznaje ten niepojęty akt miłości Bożej, tę tajemniczą przemianę, przyjmując ją jako tajemnicę Wiary.

5. Potrójny urząd Chrystusa. W ofierze Mszy św. Pan Jezus wykonywa Swój potrójny urząd: nauczycielski, kapłański i pasterski. Trafnie przedstawia tę prawdę biskup Trewiru, Eberhard (†1877). „W Konsekracyi jest Chrystus w pierwszym rzędzie Kapłanem ofiarnym, natomiast w Komunii podbija nasze serce jako Król dobrotliwy i jako Książę pokoju dąży do rozszerzenia i utrwalenia Królestwa swego, królestwa miłości w duszach ludzkich. Lecz nie tylko jako Pośrednik i Arcykapłan żyje Chrystus w Kościele przez Ofiarę Mszy; nie tylko jako król świata, lecz także jako Prorok, Nauczyciel wiecznej prawdy. Dlatego Ofiara Mszy zawiera także część pouczającą; w niej mówi Chrystus do nas, a to przez usta Proroków i Apostołów w Epistołach, poczem stwierdzając i objaśniając ich słowa, podnosi własny Swój głos proroczy, przemawiając do serc naszych w Ewangelii świętej. Nie mielibyśmy nieomylności Kościoła, gdybyśmy nie mieli Ofiary, w której spełnia się dosłownie to, co Chrystus powiedział do Apostołów: „Oto Ja jestem z Wami po wszystkie dni aż do skończenia świata“. Gdzie wyrzeczono się łączności z Kościołem, gdzie zaprzestano Ofiary i powywracano ołtarze, tam postradano także jasną i nieomyloną naukę Kościoła, jak dowodzą tego dzieje sekt heretyckich. Rozumiemy to, czemu Biskupi, zostający w łączności z Papieżem, mają pełnię Apostolskiej władzy nauczycielskiej. Mają ją, bo posiadają także pełnię władzy ofiarniczej. Z ofiary Mszy spływa także na Przełożonych Kościoła władza królewska, władza oparta jedynie na prawdzie i łasce, władza wykonywana nad sercami ludzkiemi, pokonywująca wszelkich nieprzyjaciół i ścieląca ich do stóp Tego, który króluje na Syonie. Kościół cały ze wszystkiemi swemi łaskami i z całą swą władzą żyje świętą Ofiarą Mszy; ona jest sercem jego organizmu; bez niej byłby Kościół martwem ciałem, które wnet musiałoby zgnić i rozpaść się“.

6. Doskonałość świętej Ofiary tak skreśla Ojciec Huguet: „Eucharystya jest nie tylko Sakramentem, ale także ustawi-

czną, rzeczywistą Ofiarą krzyżową, chociaż nie spełniają jej kaci, tylko sprawuje ją kapłan na ołtarzu. Właściwie Jezus Chrystus sam działa przez kapłana i sam sprawuje Ofiarę. Poznanie tych tajemnic i miłość ku nim zdobyć możemy tylko w świetle niezmąconej wiary. A światło to dostępne jest każdemu chrześcijanowi. Co za nieprzebrane bogactwa mieści w sobie Ofiara Mszy św.! Rozważcie dobrze tę prawdę, powiada św. Bernard, i pielęgnujcie ją w sercach waszych: kto odprawi jedną Mszę św. lub w niej uczestniczy, może zjednać sobie więcej zasług, niż ten, ktoby oddał całe swe mienie na ubogich, ktoby odprawił pielgrzymkę aż do krańców świata, lub zwiedził z największem nabożeństwem święte miejsca Ziemi świętej, Rzymu lub Loretto. Przyczyna leży w tem, że w jednej Mszy św. zawarte są wszystkie skarby, jakich Syn Boży udzielił w obfitości oblubienicy Swej, Kościołowi świętemu, przez krwawą Ofiarę na krzyżu.

7. Posłuchajmy co mówi św. Chryzostom: „Gdy widzisz Boga, Pana nieba i ziemi, oddającego się na ołtarzu na Ofiarę i zagładę, gdy widzisz, jak kapłan, pochylony nad ofiarą, zatapia się w modlitwie, a drogocenna krew skrapia wszystkich obecnych, czy może jeszcze zdawać ci się, że bawisz na ziemi w pośród ludzi? Czy nie czujesz się przeniesionym w górę do Nieba? Czy nie odstępuje cię wszelka myśl doczesna i czy dusza twa, wyzwolona z pod władzy zmysłów, nie rozkoszuje się tem, co się dzieje w górnej Jerozolimie? O cudzie! O niewymowny znaku miłości Boga ku ludziom! Ten sam, który siedzi w niebie po prawicy Ojca, pozwala, aby Go dotykali się rękoma kapłani, oddaje się każdemu, kto go chce przyjąć, przyjmuje chętnie pieszczoty nasze i daje się wszystkim oglądać oczyma wiary“.

8 We Mszy św. cieszymy się obecnością tego samego Chrystusa, któremu hołd oddali Trzej Królowie, którego starzec Symeon brał na ręce, którego Matka Boża ofiarowywała Ojcu w świątyni. Słyszymy również, jak ten Chrystus głosi nam Ewangelię przez usta kapłana i możemy czerpać z tego źródła pożytek i zbawienie. Jesteśmy świadkami cudów, jakie Chrystus działa we Mszy, jak przemienia wino w Swą św. Krew, co jest bez porównania większym cudem, niż gdy Zbawiciel w Kanie przemienił wodę w wino. Widzimy Go, odnawiającego wciąż Swą Ostatnią wieczerzę, przemieniającego ponownie chleb i wino w Swe prawdziwe Ciało i Krew. Wreszcie podczas Podniesienia widzimy Go wywyższonego na krzyżu i słyszymy uszyma duszy, jak modli się za nas: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią i jak ciężko obrażają Twe Bóstwo grzechami swymi! Nie widzimy wprawdzie tego wszystkiego oczyma ciała, wierzymy jednak sercem, a tą naszą niezwruszoną wiarą zasługujemy sobie na większą nagrodę, niż ci, którzy widzieli Zbawiciela własnemi

oczyma, jak to zaznacza sam Chrystus u Jana (Rozdz. 20): „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli“. Im większe i bardziej niepojęte są tajemnice, tem silniejszą i bardziej zasługującą jest nasza wiara i tem obfitszą będzie nagroda nasza w Niebie. Dlatego powiada Ojciec Sanchez: „Gdyby chrześcijanin umiał tylko ciągnąć należycie korzyści z tych rzeczy, to mógłby jedną Mszą bardziej się wzbogacić, niż posiadaniem wszystkich innych rzeczy przez Boga stworzonych“.

We Mszy również spełnia Chrystus wiernie Swą pocieszającą obietnicę, jaką czytamy u Mateusza w rozdziale ostatnim: „Oto, Ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata“. Obietnicy tej nie należy rozumieć o samem Jego Bóstwie, ale także o człowieczeństwie, bo we Mszy św. i w Najśw. Sakramencie Ołtarza obecny jest także człowieczeństwem Swem. W Sakramencie Ołtarza obecnym jest zawsze własną Swą osobą, we dnie i w nocy zawsze gotów jest udzielić nam posłuchania, przyjąć prośby nasze, pospieszyć nam z pomocą w potrzebach naszych. A we Mszy św. jest zarazem naszą Ofiarą, orędownikiem i przejednaniem za grzechy. Bo jeśli Chrystus sprawuje we Mszy Swój urząd kapłański, to do urzędu Jego należy, jak powiada św. Paweł (Żyd. 5.), „by ofiarował dary, i ofiarę całopalną za grzechy ludu“, czyli by ofiarował Siebie Ojcu Swemu za lud Swój, jako ofiarował się Mu na drzewie krzyża. Wynika z tego, że między Hostyą w monstrancyi, a Hostyą we Mszy zachodzi wielka różnica, chociaż w obu jest Chrystus obecnym w sposób jednakowy: w monstrancyi przedstawia nam Kościół Chrystusa do adoracyi, podczas gdy we Mszy On sam ofiaruje się za nas Ojcu Swemu w niebie przez ręce kapłana, jako Ofiara przebłagalna. W monstrancyi zstępuje do nas z nieba, we Mszy natomiast wznosi się od nas ku niebu. Jednem słowem w monstrancyi jest Chrystus Sakramentem czyli środkiem zbawienia, zaś we Mszy jest Ofiarą, czyli pośrednikiem zbawienia; w Sakramencie my przyjmujemy Go przez spożycie, we Mszy św. zaś przyjmuje Go Ojciec niebieski na przebłaganie grzechów. (Dok. nast.)

Reiners, Ofiara Mszy św.

Odpowiedzi i ogłoszenia.

Księża adoratorowie, zapisani do nr. 40.001—55.000 zechcą odprawić we wrześniu jedną mszę św. za zmarłych członków Stowarzyszenia.

Za zezwoleniem Ordynaryatu obrz. łać. we Lwowie.